

Fajansiarze

22 listopada 2015

Kiedy byłem małym chłopcem, mieszkałem w Gołąbkach, willowej dzielnicy Ursusa. No, może willową dzielnicą Gołąbki są dopiero dzisiaj, tak jak wszystkie przedmieścia współczesnej Warszawy obrosłe wspaniałymi rezydencjami rządowych kacyków, aferzystów i innych złodziei. Wtedy była to raczej osada, gdzie zielone ogrody kryły małe jednorodzinne domki. W tamtych czasach działwa rzadko dostawała kieszonkowe. Ludzie zajmowali się uczciwą pracą i nie stać ich było na spełnienie wszystkich kaprysów swoich dzieci. Młodzież, aby kupić sobie wymarzoną piłkę lub rower musiała długo oszczędzać, a pieniądze uzyskiwało się dzięki sprzedaży butelek i złomu. O makulaturę było raczej trudno. Z okazji różnych akcji musieliśmy ją taszczyć do szkoły. Dziś takich akcji nikt już nie organizuje. Zostały wyśmiane jako relikty siermiężnego socjalizmu i obecnie tony papieru walają się po śmietnikach. Lasy coraz szybciej znikają z mapy naszego kraju, choć zanim całkiem znikną, zostaną przekazane Chazarom za holokaust.

Kiedyś najłatwiej było o złom. Z pobliskiej fabryki traktorów, wprost na ulice Gołąbek wywożono żużel oraz czarny piach z odlewni, w którym znajdowały się duże ilości okruchów żeliwnych, zepsutych odlewów itp. Ulice, a może raczej drogi, przedstawiały stan straszliwy. Latem, przy byle podmuchu wiatru, unosiły się tumany czarnego pyłu osiadającego wszędzie. Nawet trawa w przydrożnych rowach była czarna. Natomiast w czasie deszczu, samochody grzęzły w czarnej mazi.

Skup surowców wtórnych znajdował się obok stacji PKP w Ursusie. Wagowym był niski, przygarbiony człowieczek o rozbieganych oczach. Zawsze mu się bardzo śpieszyło. Ważenie złomu czy makulatury odbywało się błyskawicznie, niezależnie od długości kolejki interesantów. Szała wagi nigdy nie zatrzymywała się w poziomie, a odważniki były zawsze lżejsze niż towar.

Ze swoimi butelkami szedłem z duszą na ramieniu, bo nigdy nie wiedziałem, ile sztuk zostanie mi odliczonych na tzw. stłuczkę. Zazwyczaj wagowy odliczał tylko jedną, ale kiedy był „po spożyciu” stawał się bardziej czepliwy i z kilkunastu butelek potrafił odliczyć nawet trzy sztuki. Dzieciaki przynosiły butelki błyszczące czystością jak kryształ, bez śladu laku i nigdzie nie wyszczerbione. Starzy, zawodowi fajansiarze przywozili towar dużo gorszy, toteż opuszczaliśmy skup w poczuciu wielkiej krzywdy. W miarę upływu czasu wyrastaliśmy z fajansiarstwa tak, jak wyrastało się z krótkich spodenek. Jedynie zawodowcy trwali w swym fachu latami, obrastając nie tylko rzadko goloną szczecinę na ogorzałych twarzach, ale przede wszystkim legendą.

Najbardziej znanym fajansiarzem był niejaki Fifi Piórko, który wrósł w krajobraz Ursusa tak, jak Pałac Kultury w Warszawie. Piórko był widziany codziennie w naszym mieście. To był wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna w drelichowym ubraniu, zawsze w gumowcach. Zima czy lato, świętek czy piątek Piórko człapał w przydużych gumiakach, z tą jednak różnicą, że zimą nogi owijał gazetami, gdyż jak powiadał: papier trzyma ciepło. W porze zimowej przywdziewał jeszcze drelichowy płaszcz ogumowany i czapkę uszanke, spod której wystawał pokaźnych rozmiarów nochał o pigmentacji wskazującej na wysokie spożycie „lodów”. Dosłownie. Nieraz widziałem jak Piórko po opróżnieniu zawartości musztardówki potężnym zamachem ręki wytrząsał ostatnią kroplę i schylał się zgarniając łapą wielkości łopaty garść śniegu, wkładając go do ust, by zniwelować palenie trunku. Czasami jako zakąska służył mu sopel oderwany z dachu jakiegoś garażu czy komórki.

Piórko niewątpliwie należał do elity fajansiarzy, gdyż butelki kupował płacąc połowę tej ceny, którą uzyskiwał w skupie. Czasem butelki dostawał gratisowo. Inni fajansiarze szukali flaszek w pojemnikach na śmiecie wchodząc w konflikt z pracownikami oczyszczania miasta, którzy walczyli bezpardonowo z konkurencją nazywaną pogardliwie nurkami.

Zdarzyło się kiedyś, że pracownik MP0, niejaki Tadek Oliwa, przyłapując tego samego nurka któryś raz z rzędu na grzebaniu w śmieciach, zamknął nieboraka w pojemniku na śmieci, przygniatając i tak ciężką klapę starym, żelaznym łóżkiem, aby tamten w ciemnościach i cuchnących odpadkach zrozumiał, że recydywa nie popłaca.

Fifi Piórko, jeśli już zaglądał czasem do śmietnika, to tylko w poszukiwaniu jakiejś interesującej literatury. W naszym kołtuńskim społeczeństwie zdarzają się ludzie kupujący książki w celu zapełnienia regału. Do dobrego tonu należy książki mieć. Kiedy tomy pokryły się grubą warstwą kurzu, a ich kartki żółkły, często lądowały w śmietniku i bywało, że właśnie Piórko stawał się ich pierwszym czytelnikiem. Był bardzo odczytany i może dlatego niektórzy sądzą, że jest człowiekiem wykształconym. Na pewno cechowała go duża kultura osobista. Piórko codziennie zaglądał do barku przy Placu 1000-lecia, znanym wśród miejscowych smakoszy pod nazwą „Raz, dwa, trzy”. Tam właśnie szukał kogoś, z kim mógłby porozmawiać o literaturze i historii.

Młodszych czytelników chcę uświadomić, że w czasach PRL chuligaństwo było przestępstwem. Ba, w tamtym okropnym okresie chuliganów karano więzieniem i to z całą surowością ówczesnego, nieludzkiego prawa. Dlatego do restauracji, czy takiego przybytku jak „Raz, dwa, trzy” mógł wejść porządny człowiek i napić się piwa bez obawy utraty zdrowia lub życia.

Fifi Piórko potrafił długo wyczekiwać na odpowiedniego kandydata do dyskusji sącząc chrzczone piwo. Kiedy już znalazł oponenta, jego małe, łagodne oczy osadzone w obliczu koloru kwitnącego wrzosu, błyszczały z radości. Podczas gdy zaczynał sypać datami i cytatami, a czynił to jak wytrawny krytyk literacki czy profesor historii, celowo podnosił tubalny, zachrypły głos, aby wszyscy go słyszeli.

Zdarzało się, że zażarta dyskusja przeciągała się do godzin wieczornych, bo fajansiarz – humanista zapominał o bożym

świecie. Przed barkiem stał wózek wypełniony butelkami, ale o swój dobytek Piórko nie musiał się obawiać. Fajansiarskiego wehikułu pilnował Ami, czarny kundel nieopuszczający posterunku nawet na krok. Dopiero kiedy robiło się późno, a Piórko miał już dobrze w czubie, Ami wpadał przez uchylone drzwi do barku i głośno ujadając oznajmiał porę powrotu do domu.

Fifi Piórko, Ami i wózek. Zgrana trójca, zawsze razem – tak jak boki trójkąta stanowili figurę będącą jedną nierozzerwalną całością. Jeśli ktoś widział sam wózek, to w pobliżu musiał kręcić się właściciel z psem. Widok zaś samego Piórka świadczył, że niedaleko parkował wózek z czarnym, spasionym kundlem w roli ochroniarza.

Fifi Piórko, jako niezwykle barwna postać wpisana w folklor niegdyś robotniczego miasta, całą prozę swojego życia określał często powtarzanym powiedzonkiem: „W upalne lato, czy siarczysty mróz, stary Piórko ciągnie wóz”. I tak było w istocie.

Drugim doskonale znanym fajansiarszem był Stefan Gudyń. W przeciwieństwie do Fifi Piórka, nikt nigdy nie widział, aby Gudyń czytał jakąś książkę. Nie widziano, aby cokolwiek czytał. Był niski, szczupły, a z przepitych oczu niewiele można było odgadnąć. Być może byłby nikomu nie znany, gdyby nie wrodzone szczęście jakim los go obdarzył. No, facet miał niebywały fart – jak mawiano. Kiedyś trafił w totka piątkę, innym razem sporą wygraną na loterii pieniężnej.

Szczęście nie opuszczało naszego bohatera i na co dzień. Często zdarzało się, że ktoś Gudynia zawołał, by ten wyniósł z piwnicy stos butelek. Innym razem znajdował stertę mosiądzu. Nikt już nie wie, gdzie Stefek znalazł skarb. Prawdziwy skarb, który jakby czekał na fajansiarsza. Otóż, Gudyń natknął się gdzieś na rurkę. Starą, zardzewiałą rurę zatkaną z obu stron zatyczkami z drewna. Zdarzało mu się co prawda znajdować wiele rur o różnych przekrojach i wszelkiej długości, które ktoś

kiedyś wyrzucił z racji przeprowadzanego remontu. Ta jednak była stosunkowo krótka i bardzo ciężka. Jakby z ołowiu i ołowiem wypełniona. Potrząsnął i ... nic nie zagrzechotało! Być może ktoś inny nie zawracałby sobie głowy tym znaleziskiem i szkoda byłoby mu czasu na usuwanie mocno osadzonych kołków, ale nie Stefek. On miał czas. Dużo wolnego czasu.

Kiedy uporał się wreszcie z jedną zatyczką, przechylił rurkę, oczy wyszły mu na wierzch. Oto z rurki wysypały się złote monety pięciorublowe, tzw. świnki. Było tego sporo. Na tyle dużo, aby Gudyń „wyparował” z Ursusa na kilka miesięcy. Kiedy wrócił, widać było, że zakupił sobie gdzieś w Polsce koszulę, krawat z gustownym jeleniem, a nawet garnitur i buty. Teraz wyglądał żałośnie: koszulę, że była kiedyś biała, można było poznać po górnej części rękawów. Na krawacie lśniły tłuste plamy po śledziu w oleju i sosach wszelakich. Garnitur, po wypraniu i zacerowaniu mógł służyć nadal jako fajansiarskie ubranie, stanowiąc pamiątkę wesołych hulanek w knajpach Sochaczewa czy Góry Kalwarii.

Chyba ostatnim ze znanych fajansiarzy był Pieszczoška. Przydomek ten otrzymał za względu na jego znaną wypowiedź o żonie: „Brudna, bo brudna, ale za to jaka pieszczoška!”

Był małym, chudziutkim człowieczkiem, biegającym wzdłuż rowów po rzadko uczęszczanych ulicach, opuszczonych ogrodach, wszędzie tam, gdzie robotnicy z fabryki opijali swoją wypłatę. Pieszczoška bardzo szybkim krokiem przemierzał dziesiątki kilometrów dziennie, pchając stary, dziecinny wózek, którego kółka piszczwały niemiłosiernie. Co kilkadziesiąt metrów jedno ze zgrzytających do bólu zębów kółek odpadało. Wtedy biedny chudzina brał kamień do ręki, coś postukał i ruszał dalej, wciąż dalej i tak codziennie od rana do zmierzchu.

Za żydokomuny w Ursusie było trzech fajansiarzy. Nie musieli nimi zostać, tylko wybrali sobie taki styl życia. Pracy było w bród, więc nikt nie musiał grzebać w śmietnikach. I tak na dobrą sprawę, gdyby nie chlali na umór, to z fajansiarstwa

można było dobrze żyć. Dziś jest sytuacja zupełnie inna. W Ursusie ludzi grzebiących systematycznie w śmietnikach jest ponad setka. Ale obecnie w śmietnikach ludzie grzebią nie tylko w poszukiwaniu puszek po piwie, lecz również jedzenia(!). Sam widziałem. Nawet kiedyś taki reportaż nakręciła żydo-masońska telewizja. Do tego doprowadziły wieloletnie rządy chazarskich bandytów i rodzimych zdrajców. A ludzi głodnych jest coraz więcej i są tacy, co nimi gardzą. To z reguły różni urzędasy, nieroby na wikcie rządzących renegatów, którzy załatwili sobie robotę poprzez koneksje. Ja ludźmi grzebiącymi w śmietnikach, nigdy nie będę gardził, ponieważ sam musiałem zbierać puszki. Bo narodowy dziennikarz i pisarz, jest spychany przez żydomasonerię na dno egzystencji. A teraz Kopaczka ze swoją bandą, płaci tysiąc euro na łeb każdemu przybłędzie, bo „państwo musi być wielokulturowe”. Kiedy starałem się o rentę specjalną, to jakiś dupek od Tuska napisał mi, że renta mi się nie należy, bo moja twórczość nic nie wnosi do kultury polskiej! (Sk...ny). Pewnie, bo jest zbyt narodowa, polska i sprzeczna za zbrodniczą ideologią gender i New Age. Za to nowi przybysze wnoszą tym łachudrom kulturę szariatatu, gwałtu i terroru.

Autorstwo: Cezary Piotr Tarkowski

Źródło: Wolna-Polska.pl